



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

15

— To dziwne, że pan nie rozumiał, przecież to takie proste, jasne... to nastrój poety, pragnącego wolności... powietrza...

— A, teraz zrozumiałem.

Odezwały się pierwsze takty walca, poeta wstał i rzekł z ukłonem:

— Panie darują... ale zobowiązałem się, — i wprost poszedł do pani Łotuskiej.

— A co, czy nie dobry okaz poety? — śmiał się pan Jedliński.

— Chory człowiek, — powiedziała pani Wanda ze współczuciem.

— Ręczę pani, że on uważa siebie za zdrowego, a nas ma co najmniej za upośledzonych, — naciągał białe rękawiczki pan Jedliński.

— To dziwne, — odezwał się Borowiecki, — że ci, tak zwani młodzi, zatracili zrozumienie wyrazów i ich duszy. Idzie im o dźwięczność tylko i to niezharmonizowaną.

— Czekam obiecanego walca, — skłonił się pan Jedliński.

— Czy to konieczne? Może mnie pan zwolni? — prosiła pani Wanda.

— To jedyna moja nagroda, wyrzec się jej to nad moje siły.

— Ponieś pan tą ofiarę, — uśmiechnęła się Ryta, — widzi pan przecież, że pani Jerzycka nie chce.

— Och, nie chce! — zaśmiał się, — kobiety zawsze nie chcą i wzdurają się pozornie, a potem są wdzięczne. Zresztą, z przepisu doktora trzeba panią Jerzycką zmuszać do ruchu, wesołości, spacerów, a więc i do walca.

Pani Wanda wstała, zdecydowana na taniec i rzekła:

— Tylko raz wokoło sali.

Pan Jedliński należał do najlepszych tancerzy w zakładzie i zwracał na siebie uwagę. Na sali kręciły się dwie pary. Pan Szarocki z panią Łotuską w tempie bardzo wolnem, i pan Orlicki z Mirą, którzy gubili takt, potracali się i na nowo zaczynali. Natomiast pan Jedliński z panią Wandą, tancerką lekką i podatną, zdawało się, że nie tańczy, lecz płynie po lśniącej posadzce.

— Jak pani cudownie tańczy, — szeptał do niej, — ...jaka pani piękna... oddałbym życie za jeden uścisk... ręki.

— Przestań pan... to takie banalne.

— To szczerze przemawia ze mnie.

Milczała, już kończyli okrążenie sali, a gdy zbliżali się do Ryty, powiedziała uprzejmie:

— Dosyć tańca... kończmy.

— Jeszcze jeden raz, tylko jeden raz, — prosił gorąco.

— Nie! Nie chcę!

Posadził ją na dawnym miejscu i poprosił Ryte do walca.

Pan Borowiecki, widząc ją zmęczoną, powiedział przyjaźnie:

— Może pani przynieść coś ochładzającego?

— Nie, dziękuję... męczy mnie każdy szybszy ruch, ale to przejdzie.

Wtem zobaczyła, że panowie Szarocki i Orlicki zbliżają się, ażeby ją prosić do tańca i zaniepokojona szepnęła:

— Boże... znów taniec! Jeśli odmówię, obrażą się... co ja zrobię?

Już stał przed nią pan Szarocki, a przy ukło-

nie, rzuciwszy głową naprzód, dotykał jej niemal zwisającymi włosami:

— Czy mogę prosić panią?

— Może później, — rzekł pan Borowiecki, — mam zamówionego walca.

— A, to przepraszam, — i cofnął się z miną dumną i obrażoną.

— Ale dla mnie pani zrobi chociaż jedną turę, — uśmiechnął się pewny siebie pan Orlicki.

— Już tańczę z panem, — odpowiedziała, wskazując na sąsiada.

— To nic nie szkodzi, ja zaczekam, — usiadł na miejscu Ryty, — ja postanowiłem sobie tańczyć z panią, to ja przetańczę, bo czy taki walc nie jest przyjemny? — zanucił aryę, tupiąc nogą do taktu.

Pan Borowiecki z uśmiechem pobłażliwym patrzył na niego, pani Wanda z niechęcią i niepokojem, co z tego wyniknie. Jeszcze z Borowieckim przetańczy, ale ten Orlicki, a potem Szarocki i napewno będzie ją zmuszał Jedliński. Ona rozchoruje się, może zemdleje, a to będzie skandaliczne.

Ryte przyprowadził jej tancerz i poprosił pana Orlickiego o ustąpienie miejsca.

— Dlaczego nie? — wstał i przysunawszy sobie inne krzesło dodał, — ja tu pilnuję mojej tancerki, czy ja źle robię, nie dowierając kobiecie? — zaśmiał się.

— A więc pani tańczy? — uśmiechnął się ironicznie pan Jedliński, — dała się pani namówić... panie Orlicki, niech pan pilnuje.

Pani Wanda siedziała chmurna, z miną poważną i rozmyślała, w jaki sposób uwolni się.

— Czy panią naprawdę męczy taniec? — spytał półgłosem jej sąsiad.

— Tak jest... i chciałabym być już u siebie.

— Zrobione, — uśmiechnął się, — przejdziemy do sali jadalnej na herbatę i odejdzie pani.

— A on? — spojrzała na pana Orlickiego.

— Panno Ryto, — szepnął, — poświęć się pani i przetańcz ze swym sąsiadem.

— Dlaczego?

— Uwolni pani swą sąsiadkę.

— Bardzo chętnie, — i zwracając się do pana Orlickiego: — pan nie tańczy? Nie lubi pan walca?

— Dlaczego nie mam lubić? Ja bardzo lubię walca, ale czekam kolei.

— Zanim to nastąpi, zrobimy jedną turę, — wstała.

— Ja już gotów.

Pan Borowiecki przez czytelną, gabinet, przeprowadził panią Wandę do drzwi wejściowych salonu.

— Teraz pani już wolna.

— Dziękuję panu, i dobranoc.

— Nie ma pani okrycia, a w hali chłodno, przebiegnij się łatwo.

— Zostawiłam w salonie.

— Zaraz przyniosę, a pani niech siądzie za tym klombem kwiatów.

Przyszedł w chwili, gdy pan Orlicki dziękował Rycie za taniec, a widząc nieobecność pani Jerzyckiej, zawołał zgorzonym:

— Co to jest? Gdzie ta pani? — patrzył podejrzliwie na pana Borowieckiego.

— Obydwa zostaliśmy pokrzywdzeni, panie

Orlicki. Pani Jerzycka kazała mi przeprosić pana... dziś nie może tańczyć.

— Czy pan myśli, że ja nie wiem? Ja wiem, że to był sobie mały spisek i dlatego panna Ryta tańczyła ze mną. Czy nie tak, panie Borowiecki? — zaśmiał się, — niech i tak będzie, ja sobie to wynagrodzę innym razem, bo co ja mam robić? Czy mam się gniewać? obrażać?

— Ale co znowu, panie Orlicki? Pan przecież należy do ludzi inteligentnych, wyrozumiałych.

— Ja to wiem i powiem pani Jerzyckiej, że ja rozumiem jej słabość, — odszedł w głąb salonu.

— Która to okrywka pani Jerzyckiej? — spytał Ryte pan Borowiecki.

— Ta z łabędzim puchem, a gdzie ona?

— Czekaj w głębi salonu, przy klombie, zaniosę jej okrywkę.

— Pójdę z panem.

— Na co jest chora pani Jerzycka? — spytał po drodze.

— Zdaje się, że choroba nerwów. Mięwa, jak mówi, czarne myśli, trapią ją obawy, boi się przepaści...

— Jakich przepaści? — zaśmiał się, — przecież po górach nie chodzi.

W kilku słowach opowiedziała mu przygodę na wycieczce i kończyła:

— Cieszy mnie, że pana tak interesuje pani Jerzycka, a moja przyjaciółka.

— Tak, to sympatyczna osoba i mam wrażenie, że jest łabędziem, oddanym na wychowanie.

— Co to znaczy? — spytała zdziwiona.

Nie miał czasu na odpowiedź, gdyż pani Wanda podeszła do nich i przyjmując okrywkę rzekła:

— Dziękuję panu... i bardzo przepraszam, że moje niedołęstwo sprawiło panu tyle kłopotów, obawiam się, że zrobiłam panu przykrość.

— O, pani istotnie chora na nadmiar obaw, — zaśmiał się, — i powtórzę za ewangelią: niewiasto, idź w pokój, co nie przeszkadza, że odprowadzę panią do jej pokoju.

— To tak wysoko... poco pan się trzyma? — szła z Rytą do hali.

— Dla przyjemności odprowadzenia pani, — uśmiechnął się, — kto wie, czy nie dogoni panią jakiś uprzykrzony tancerz, a ja będę miał sposobność odegrać rolę obrońcy i rycerza.

— To prawda, — zaśmiała się, — czy pan Orlicki obrażony?

— Nie! Pan Borowiecki wytłómaczył mu twą nieobecność, — odpowiedziała Ryta, — i on przyjął to spokojnie.

— Wysoko pani mieszka? — spytał ich towarzysz.

— Na trzecim.

— Dlaczego schodami chce pani iść, wygodniej windą.

— Wandzia boi się windy i woli męczyć się schodami, — powiedziała Ryta ku niezadowoleniu pani Wandy, bo i poco obcego wtajemniczać w takie rzeczy.

— Dlaczego pani nie zamieszkała na niższym piętrze?

— Niema wolnego numeru.

— Czy znalazł pan jakie zmiany w zakładzie po swym powrocie? — spytała Ryta, gdy byli na pierwszym piętrze.

— Prawie żadnych, to samo sztuczne podnie-